Nr. 47. We Lwowie dnia 25. listopada 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kilka słów o meteorologji.

(Rozmaite figle piorunu. — Próby sztucznego sprowadzania deszczu. — Rozpędzanie gradu za pomocą wystrzałów armatnich).

Wszyscy wiemy, że błyskawica jest niczem innem, jeno iskrą elektryczną, ukazującą się między chmurami podczas burzy. Ale gdy iskry, wydobywane z maszyny elektrycznej dosięgają zaledwo kilku cali długości, błyskawice miewają nieraz po kilka wiorst długości. Nic też dziwnego, że ta potężna siła atmosferyczna sprowadzić może wielkie zniszczenie dokoła siebie, gdy, wiedziona jakimś kaprysem natury, zbliży się zanadto ku powierzchni ziemi. Błyskawica wypala, topi i rozprasza druty metalowe, napotkane na swej drodze, przedziurawia szkło i drzewo, zapala materjały palne, rani i zabija zwierzęta i ludzi.

Nie zawsze jednak błyskawica sprowadza tak groźne następstwa, często bardzo pozostawia ona lekkie tylko ślady na przedmiotach, które dotknęła, jak gdyby figlowała z nimi. Tak naprzykład zauważano, iż po burzy szczyt wieży kościelnej bywał namagnesowany. Znaną jest również zabawna historja szewca, który po burzy nie mógł używać do roboty swych narzędzi metalowych, gdyż stały się one nagle magnesami, więc nożyce przyciągały do siebie szydła, igły, i t. p.

Znakomity Tyndall lubił opowiadać przygodę pewnej pani, która podczas burzy zamykała okno, a wtem z przerażeniem spostrzegła, iż złota bransoletka, która zdobiła jej rękę, nagle się rozpłynęła w powietrzu, a dokoła ręki pozostał tylko czarny prążek, ślad bransoletki. Na szczęście na tem przygoda się skończyła.

Najciekawszym atoli z figlów pioruna są odciski, które pozostawia na skórze ludzkiej. Są to jakby fotografje drzew, liści, ptaków, część krajobrazu i t. p. Naprzykład w 1868 r. dwie osoby, przez piorun zabite pod lipą, miały na piersiach odbite desenie liści tego drzewa.

Wszystkie dotychczas zebrane obserwacje, potwierdzają, że piorun częściej zabija mężczyzn, niż kobiety. Na cztery zabite osoby, przypada jedna kobieta. Ten dziwny wzgląd piorunu dla płci żeńskiej tłómaczą tem, że fałdziste ubranie kobiet nie przylega do ciała, jest przeto mniej przepocone, niż męzkie i dlatego jest złym przewodnikiem elektryczności. Ale nie trzeba zapominać i o tej okoliczności, iż kobiety mniej od mężczyzn pracują w polu podczas burzy i dlatego mniej bywają narażone na niebezpieczeństwa. Zauważano bowiem, iż ofiarami piorunu najczęściej padają osoby, znajdujące się na dworze; a rzadko osoby, przebywające w domu.

Najczęściej jednak piorun spada na drzewa; czasem oderwie tylko kawał kory, gdzieindziej zapali drzewo, albo rozszczepi je na dwie części. Nie wszystkie drzewa bywają jednakowo narażone na działanie piorunu; doświadczenie uczy, że wierzba, wiąz, klon, jasion, a zwłaszcza dąb i topola najczęściej bywają nawiedzane przez piorun. Sosna zaś, orzech, lipa rzadziej, a buk bardzo rzadko.

Rozmaicie tłómaczyli sobie uczeni powyższą różnicę; myślano, że zależy ona od długości korzeni, od gleby, w której drzewo rośnie. Lecz dopiero od kilku lat wyjaśniono tę zagadkę. Pan Jonesco za pomocą doświadczeń dowiódł, że elektryczność łatwiej biegnie przez jedne drzewa, a trudniej przez inne. Dobrymi przewodnikami elektryczności okazały się te drzewa, które zawierają wiele mączki, a mało oleju, jak dąb i topola. Przeciwnie drzewo bukowe, bogate w olej, jest złym przewodnikiem. Wynika zaś ztąd zasada, iż dobre przewodniki bywają częściej narażone na piorun, niż złe przewodniki.

Ciekawem jest do zanotowania, iż piorun daleko częściej spada po wsiach, niż w miastach. I tak w Paryżu od 1800 do 1851 roku nie było ani jednego wypadku śmierci, spowodowanej tą

przyczyną; od 1851 do 1900 było tamże trzy wypadki, z których jeden śmiertelny, w Berlinie od 1713 r. aż do naszych czasów tylko pięć osób padło ofiarą piorunu. W Londynie przypada jeden wypadek śmierci na miljon mieszkańców.

Jakież środki ostrożności zachować należy, aby zmniejszyć liczbę wypadków, trafiających się po wsiach?

Oto przedewszystkiem podczas burzy nie szukać schronienia pod drzewami, zwłaszcza drzewami wysokiemi, gdyż one piorun przyciągają.

Setki osób uniknęłyby tym sposobem śmierci. Na drodze wysadzanej drzewami, należy iść środkiem, lub, jeżeli można, oddalić się od niej. W ogóle unikać należy wysokich przedmiotów, jako to: słupów telegraficznych, stóg siana i słomy; w miastach nie szukać schronienia pod wysokimi budynkami nie opatrzonymi w piorunochrony. Dalej, podczas burzy unikać należy wszelkich przedmiotów metalowych: drutów telegraficznych, drutów od dzwonka, łóżek żelaznych, oraz cierni metalowych, którymi otaczają ogrody i laski. Rolnik, zaścignięty przez burzę w polu, powinien oddalić się od metalowych narzędzi pracy, jako to: pługów, rydli, kos i t. p.

Niebezpiecznem jest także podczas burzy zbliżać się do kominów. Wiedzieć wreszcie należy, iż wiele osób, porażonych piorunem, możnaby było powołać do życia, gdyby niesiono im natychmiast takiż sam ratunek, jak osobom, które wyciągnięto z wody. Należy tedy bez zwłoki czasu robić sztuczne oddychanie; wykonywa się to dwojakim sposobem: albo przez rytmiczne ugniatanie z dwóch stron żeber, albo też przez rytmiczne wyciąganie języka.

Od najdawniejszych czasów zauważano, że gwałtowne wstrząśnienia powietrza mogą zmienić stan nieba; znanem jest naprzykład, że wiatr sprowadza deszcz lub też go odpędza. Wstrząśnienie powietrza można także wywołać sztucznym sposobem za pomocą gwałtownych wystrzałów.

Wielokrotnie zauważano, że po wielkich walkach wojennych, następował ulewny deszcz. To samo zauważano po niektórych wybuchach prochu i bawełny strzelniczej.

Opierając się na powyższych spostrzeżeniach nieraz umyślnie bombardowano nieba, aby odpędzić burzę i chmury, aby sprowadzić deszcz, aby rozprószyć mgłę na morzu, przerwać tromby morskie i zatrzymać cyklon.

Ostatniemi laty w Ameryce i Transwaalu robiono zwłaszcza liczne próby, aby podczas suszy rzucać w powietrze materjały wybuchowe i tym sposobem deszcz sprowadzić.

W końcu prób tych zaniechano, nie tylko dlatego, że rezultat nie zawsze był pewny, ale i dlatego że sztuczny deszcz bywał bardzo kosztowny, a w dodatku zapłacony przez jednego rolnika, spadał o kilka wiorstw dalej, na pole sąsiada. Zatem kwestja sztucznego sprowadzania deszczu, dotychczas nie jest rozstrzygnięta. Ale wzamian za to, zrobiono świeżo inny wynalazek, który ma pierwszorzędne znaczenie dla rolnictwa. Za pomocą gwałtownych wystrzałów nauczono się niszczyć chmury gradowe. Doświadczenia te od lat kilku prowadzone były w Styrji oraz w północnych Włoszech, to jest w krajach, często bardzo przez grad nawiedzanych. Doświadczenia te wypadły tak pomyślnie, iż rolnicy zamierzają zawiązywać tam syndykaty i znacznie pomnożyć liczbę stacji, gdzie ustawione są przyrządy, grad odpędzające.

W Austrji wydelegowaną była przez rząd komisja, która szczegółowo badała funkcjonowanie owych przyrządów.

Strzelanie do chmur odbywa się za pomocą wielkich moździeży, na których ustawiony jest żelazny komin w postaci lejka, a mający do dwóch metrów długości. Potężne wybuchy wylatujące z tych kominów, silnie poruszają warstwy powietrza na wysokości 1500 aż do 20 0 metrów, tym sposobem powstaje w powietrzu wir, niszczący chmury, w których się miał grad uformować.

Dr. M. Stefanowska.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XIV.

Wójt Syka i Jan, przechodząc pewnego razu przez wieś, zajęci byli żywą rozmową. Naradzali się mianowicie, jakby utrzymać w karbach pozornego przynajmniej posłuszeństwa miejscową ludność, którą dwór zdawał się umyślnie drażnić, wymagając niebywałych dotąd służebności i robocizny. Wtem nagła wrzawa i hałas zwróciły uwagę rozmawiających. Posunąwszy się o kilkanaście kroków dalej opłotkami, wyrozumieli, że coś niezwykłego działo się właśnie w chacie Przybków, przed którą stała ciżba ludzi. Nim jednak doszli do niej, przez uchylone wrota wyleciał śpiesznie, jakby umykając, hajduk terhanowski. W ślad za tamtym pędził kudłaty Wilk Przybków z wściekłem ujadaniem, a Maciej, nie przekraczając wrót, groził pańskiemu pachołkowi dębową ciupagą.

Zgromadzeni zrywali sobie poprostu boki, patrząc na dworskiego hajduka, który przyszedł nadęty jak paw, pewny posłuszeństwa, a teraz

musiał zmykać, niby złodziej, opędzając się w dodatku przed zajadłym psem.

Ale Maciej Przybek nie śmiał się. Nie do żartów mu było. Blady z gniewu, patrzał zaiskrzonym wzrokiem za pańskim pachołkiem, zdając się, nie widzieć nikogo wokoło siebie, nawet córki, która wybiegła za nim z chaty. Opamiętał się dopiero, gdy Kozina i Syka zbliżyli się, zapytując, co się tu stało?

— Ho, poźryjcież na tego draba. Przyszedł, niby jaśnie wielmożny pan i kazował zapłacić jakowyś podatek. W szpargałach swoich, pada, znaleźli, — jako im się należy... Nie płaciłech go nigdy, ani ociec, ani dziadek. Teraz se wymyślili... Chybia im, widać, pieniędzy na karnawał. Ale nie koniec na tem! Przyniósł jeszcze rozkaz, aby Maryna, ta oto moja córka, szła do dworu len prząść... Poczkaj ino, jasny panie, już ja ci uprzędę, nie bój się! Drabowi nie dałech ani dokończyć. Zmykał, jak niepyszny... Widzieliście?

— Byleś ino nie miał z tego biedy... — zauważył Syka.

— A cóż-ech miał począć? — Milczeć, abo też udać się do adwokata, do Wiednia? — dodał, patrząc znacząco na Sykę i Kozinę, którzy zrozumieli przymówkę.

— My z Wilkiem lepiej dogodzić mu poradzili — dorzucił jeszcze przy wtórze ogólnego śmiechu.

Kozina jednak, ani Syka nie śmieli się. Kozinie przyszło, owszem, na myśl usłyszane przed chwilą od Syki słowa, że panowie czynią, co jeno mogą, aby wywołać burzę.

Jakoż zerwała się ona rzeczywiście w końcu mięsopustu, przed samemi ostatkami...

Iskra Rzehurzek nie często przesiadywał o tym czasie w domu. Rozrywano go na wszystkie strony, zapraszano to tam, to ówdzie, aby grał do tańca. Wędrował z wioski do wioski wraz ze starym ojcem, zaledwie mogąc nastarczyć zamówieniom. Od niepamiętnych czasów nie było, tak wesołego mięsopustu. Młodzież hasała do upadłego, a nawet starsi dawali się porwać ochocie. Wszystkim było jakoś lżej, weselej na sercu.

Iskra radował się również, na inny jednak sposób, niż pląsająca młodzież. Dawniej, grając na gajdach, zapominał o całym świecie, nie widział nic prócz tancerek i tancerzy, chyba tylko ten jeden dzbanek piwa, do którego zaglądał często, nawet bardzo często. Teraz — choćby najwarciej szedł taniec, choćby chłopcy, kto wie, jak śpiewali i przytupując, wirem porwane tancerki ponad głowy nawet podnosili, — myśli grajka były tu nieobecne, przebywały kędyś daleko, aż tam, pod lasem, w samotnej chacie. Myślał o młodej swej żonie, która mu wyznała cicho, cichuteńko, że wkrótce nie będzie u nich tak pusto, bo już bocian przechadza się bardzo niedaleko od ich chaty. Iskra ucieszył się temi słowy niepomiernie, od tego czasu coraz chętniej przesiadywał w domu i wielce był zadowolony, że to już ostatki, że wnet skończy się włóczęga z gajdami po wioskach.

Mówił właśnie o tem żonie, gdy we wtorek po południu przewieszał swój instrument przez ramię, wybierając się z domu.

— I co też temu Brychcie do głowy przyszło? — dziwiła się Dorla.

— Ha, Lomikar radował sie bedzie! — odrzekł Iskra, śmiejąc się.

— Ale co rzekną w Ujeździe?

— Dyć bedę i im grał, a zakiel wrócę, ociec mię zastąpi przy pomocy Kuby.

I rzeczywiście Kuba, uczeń Rzehurzka, przyszedł po ślepego starca, z którym miał grać we wsi do powrotu Iskry z Postrzekowa.

Dorla pozostała w domu sama.

Dźwięki gęślików i jęczenie gajd zwabiły niebawem i Kozinę do gospody. Młody góral doznał uczucie zawodu, nie zastając tam — wbrew oczekiwaniu, przyjaciela Iskrę i żywo przystąpił do grajków, skoro umilkli na chwilę.

Rozbawiona młodzież nie zwróciła nawet uwagi na zjawienie się Jana. Dopiero gdy ten, po zamianie kilku słów ze ślepym grajkiem, wybiegł spiesznie z gospody, pozostawiając na stole pełny kufel, zaczęto pytać, co się stało?

Ale grajek tyle jeno mógł powiedzieć, że Kozina urwał natychmiast rozmowę, gdy usłyszał, że Iskra, na niezwykle natarczywe nalegania Brychty, poszedł grać do Postrzekowa, gdzie oddawna do czegoś się przygotowywano.

Kozina tymczasem był już daleko za wsią, śpiesząc wartkim krokiem po utartej drodze. Na niebie świeciło słońce, krzesało iskry w zamarzłym śniegu i zdawało się budzić lasy z żałobnych dum wesołym blaskiem. Ale młody góral nie rozglądał się wokoło, bystre jego spojrzenia biegły w dwóch jeno kierunkach: ku Postrzekowu i w stronę terhanowskiego zamku, którego białe mury lśniły się w promieniach słonecznych.

Na zamku i w jego pobliżu panował taki spokój, taka cisza, jak gdyby to był już wielki post, a nie tłusty wtorek.

Kozina, minąwszy Terhanow, był już niedaleko Kleńcza, gdy nagle dały się słyszeć przenikliwe jakieś dźwięki, wrzaski i hałaśliwa muzyka. Jednocześnie młody gazda dostrzegł na dość stromem zboczu, między osiedlami, ciżbę ludzi, którzy się skupiali głównie przed domem Adama Ecla. Byli tu górale z Kleńcza, Postrzekowa, nawet Drażenowa. Nad hałaśliwym i różnobarwnym tłumem, który się mienił wyszywaniem kożuszków męskich i pstremi chustkami kobiet, górowała grupa jeźdźców, ustawiona na placu przed domem Ecla.

Na prawem skrzydle dziwacznej tej grupy znajdował się stary żyd. Siedział na nieszczęśliwej jakiejś klaczy o sterczących kościach i trzymając w ręku stare postronki zamiast uzdy, wykrzykiwał coś w języku żydowskim ku niezmiernej uciesze młodej gawiedzi góralskiej. Obok, na czarnym koniu djabeł przewracał straszliwie oczyma i pokazywał język, wdzięcząc się do śmierci z kosą, w śnieżnej płachcie, dosiadającej białego rumaka. Dalej paradował jeździec, owi

nięty od stóp do głowy w słomę, na czapraku, również ze słomy zrobionym. Tuż przy słomianym jeźdźcu panoszył się na rosłym gniadoszu Bawarczyk okazałej tuszy, w czerwonej kamizelce i kapeluszu o szerokich skrzydłach, przybranym we wstążki i blaszki. Współziomek tego ostatniego, w takim samym stroju, lecz jeszcze otylszy, przekomarzał się z dwoma żydami, którzy mogli się pochlubić równie wspaniałymi szkieletami koni, jako i ich współwyznawca na prawem skrzydle. Przed jeźdźcami w półkole stało aż dziewięciu grajków w czapkach, bramowanych futrem, przystrojonych we wstążki, kokardy i kogucie pióra

Zaledwie umilkli, znowu na skinienie Rzehurzka jęli dąć. Była to muzyka niesłychana! Dziewięciu naraz kobziarzy! Chałupy o mało nie pękały od przenikliwych dźwięków, nic więc dziwnego, że i niedźwiedź z grochowin puścił się w taniec, chociaż trzymający go na łańcuchu chłop w dziwacznem przybraniu, od czasu do czasu obuszkiem Misia po grzbiecie kropił.

W chwili, kiedy Kozina zbliżył się do tłumu, masek i grajków, którzy widocznie na coś oczekiwali, uchyliły się drzwi na piąterku Eclowej chaty i na krytym balkonie ukazał się Brychta w towarzystwie gospodarza domu. Brychta trzymał w ręku długi, gruby obuszek z przymocowanemi do górnego końca rzemieniami i sznurami i stanąwszy w otworze balkonu, podniósł w górę prostopadle olbrzymi ów bat. Ecl skinął na grajków, aby przestali. Tłum zamilkł i wszystkie spojrzenia zwróciły się na Brychtę, a bardziej jeszcze na Ecla, który jął głosić tonem poważnym, niby ksiądz na kazalnicy, że spadło na kraj podwójne nieszczęście, podwójna klęska. Oto kończy już żywot swój jaśnie wielmożny pan mięsopust i jutro będzie pochowany, a dziś, na krótko przed tamtym zgonem, zgasł ten właśnie, tu obecny bat pański. Był on dla wszystkich przez czas nader długi przedmiotem szczęścia, narzędziem rozkoszy, — chrześcijańska przeto nakazuje powinność odprowadzić go na miejsce wiecznego, da Bóg, spoczynku i zapłakać nad jego grobem.

Ecl wygłosił całą przemowę tonem tak uroczystym i z takiemi minami, że tłum, stojący na dole, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Sam djabeł śmiał się do rozpuku, śmierci głowa się trzęsła, a jeden z Bawarczyków, aż za boki się trzymał.

Gdy w ciżbie zapanowała nareszcie względna cisza, Ecl oświadczył dalej, że wyruszą w drogę natychmiast, ponieważ drogocenny bat należy pogrzebać, jako własność pańską, w ziemi pańskiej, teraz jednak składa go w ręce wszystkich obecnych.

Wrzaski, śmiech, radośne wołania powitały olbrzymi bat, który Brychta przy ostatnich słowach cisnął na śnieg. Ozwały się też wszystkie naraz kobzy, a niedźwiedź poskoczył, porwał bat i wręczył go słomianemu jeźdźcowi, dosiadującemu słomianego konia.

Tłum miał wyruszyć z miejsca, gdy rozległ się ponownie okrzyk radości. Witano w ten sposób Jana, którego ludzie teraz dopiero spostrzegli. On wszakże, nie zwracając uwagi na objawy życzliwości, wpadł do chaty i spotkał w sieni Brychtę i Ecla, rozpromienionych, zanoszących się od śmiechu.

Z zapłonionej w nienaturalny sposób twarzy Brychty, łatwo można było odgadnąć, dla czego jest tak wesół i ma takie błyszczące oczy. Jan zaledwie zdołał uwolnić się z jego uścisków. Na dworze jęczało dziewięć kobz i tłum się niecierpliwił, gotowy do wymarszu, oczekujący jeno na przewódców, Brychtę i Ecla.

I ci wyszli śpiesznie, pociągając za sobą Kozinę, który usiłował ich zatrzymać.

— Usłuchnijcież tego, co mówię! — wołał. — Miejcie rozum!

— Pódź-że z nami, a wartko! — wrzeszczał Brychta, nie zwracając uwagi na jego słowa.

— Na Boga, w głowach się wam przywróciło! Czyście zwarjowali! Ostańcie! — krzyczał z rozpaczą Kozina, szarpiąc Brychtę, który już kładł nogę w strzemię.

— Ostaw, Kozino! Widzisz hań zamek, — pański zamek — hań pódziemy...

— Na hajta pódziemy! — dodał śmiejąc się Ecl. — Do Lomikara na hajtuś!

W odpowiedzi zabrzmiał chóralny śmiech i dzikie wrzaski.

— Na Boga żywego was zaklinam — Eclu! Tak być nie powinno. — Miej-że choć ty rozum... Wstrzymaj ich! Nie chodźcie do zamku! Ludzie na świecie!...

Jęcząca muzyka, przeraźliwy wrzask podochoconej ciżby tłumiły jego wołania, rozbrzmiewając daleko w mroźnem powietrzu. A nad falującym tłumem, który porwał, niby potok bystry, opierającego się Kozinę, widniała najwyraźniej śmierć, białą płachtą okryta i wznosząca w jaskrawych promieniach słońca kosę złowrogą...

C. d. n.



WOJNA KOBIECA.

Komiczną, ale w gruncie rzeczy smutną jest historja berlińskiego „towarzystwa Polek pod opieką S-go Józefa.“ Wsławiło się ono wśród kolonji polskiej w Berlinie nieustannemi awanturami i rozłamem wewnętrznym, który całe towarzystwo doprowadził do zaniku.

Początek nieporozumień pomiędzy dwiema istniejącemi w towarzystwie partjami, ginie w pomroce jakichś wyborów, nibyto nieprawnie uskutecznionych w roku bodaj czy nie 1895, — mocą których wybrano na przewodniczącą towarzystwa osobę, wrogą dawnej przewodniczącej. Pozory drobne wystarczyły, aby nienawiść, płonąca w dwóch sercach kobiecych, wywołała wulkaniczne wybuchy na pierwszem posiedzeniu towarzystwa, które się odbyło pod egidą nowej przewodniczącej. Dawna przewodnicząca, powstawszy, wrzaskliwie domagała się natychmiastowego usunięcia się osób, składających zarząd; otoczona gronem swych popleczników — a raczej poplecznic zek — nie przebierała w słowach i niejedną zjadliwą strzałę wypuściła na swą nieprzyjaciółkę, w której odezwała się znów zadraśnięta do żywego duma. Przy drugiej, czy trzeciej z rzędu utarczce takiej, nowa przewodnicząca, mając wokoło siebie silne stronnictwo, zdecydowała się wykonać zamach stanu i poprostu wykluczyła swe nieprzyjaciółki z towarzystwa. Lecz wykluczone ani myślały opuścić sali posiedzeń. Opozycja przybrała wszelkie cechy obstrukcji, zanim nawet parlament wiedeński nadał tej taktyce cechę parlamentarną.

Tak trwało przez kilka tygodni. Wykluczone nieprawnie „panie“ ani myślały się poddać, a zatem je zupełnie skreślono z listy członków. Tak nakazywała dyktatorska logika przewodniczącej. Przestano zawiadamiać wykluczone o posiedzeniach, przestano zbierać od nich składki miesięczne. Lecz te drobne szykany w niczem nie złagodziły opozycji. Oponentki były gotowe iść bez porównania dalej. Wobec tego przewodnicząca zadecydowała, że należy użyć radykalnego środka — i przeniosła lokal posiedzeń towarzystwa do zupełnie innej dzielnicy Berlina, zawiadamiając o tem naturalnie tylko swoje adherentki. Jakież było zdumienie szanownych pań sprzysiężonych, gdy pierwsze z nich, wchodząc do sali posiedzeń, zostały przyjęte głośną salwą śmiechu i oklasków przez przemyślne przeciwniczki, które potrafiły dowiedzieć się o zamiarach wrogiej partji i sparaliżować je zjawieniem się na sali. Zarzucano sobie nawzajem zdradę, przekupstwo — omal że nie siedem grzechów głównych. W końcu awantura przybrała takie rozmiary, że właściciel lokalu uczuł się zmuszony wyprosić kłótliwe panie.

Lecz serca niewieście jeszcze bardziej tylko zapłonęły partyjną nienawiścią. Nowa przewodnicząca zwołała swe zwolenniczki na zebranie do swego prywatnego mieszkania: była więc pewna, że nikt już z niepowołanych nie zdoła wtargnąć na posiedzenie.

Wtedy wykluczona z towarzystwa partja, szatański ułożyła plan zemsty. Nie należy zapominać, że towarzystwo miało swą wspólną kasę, swoją bibljotekę, chorągiew wreszcie, z którą się mogło popisywać na wszelkich uroczystościach — a prawo własności naturalnie jednakowo przysługiwało wszystkim członkom towarzystwa. Otóż część wykluczona udała się na drogę sądową i wytoczyła przed sędzią cywilnym skargę o bezprawne zagarnięcie wspólnej własności. Sędzia, po rozpatrzeniu sprawy, uznał, iż najpotrzebniejszą rzeczą jest przedewszystkiem stwierdzenie, kto należy do towarzystwa: o dalszym rozwoju towarzystwa miało zadecydować walne zebranie. Sąd więc nakazał zarządowi zwołać na walne zebranie i to przez listy polecone wszystkie te osoby, które do pewnego czasu (trzy miesiące wstecz) opłaciły składki. Taka decyzja sądu była bardzo na rękę zarządowi, który już od początku walki z opozycją, nie odbierał od wykluczonych osób wkładek. Pominięto więc całe to grono w zaproszeniu, a przewodnicząca postarała się zawczasu o pomoc policji, na wypadek, gdyby opozycja przerwać chciała obrady. Dnia 8 sierpnia 1890 r. odbyło się niezmiernie ciekawe posiedzenie, którego przebieg przypomina najburzliwsze sceny obstrukcji niemieckiej w parlamencie wiedeńskim.

Przewidywania przewodniczącej się sprawdziły. Pomimo, że cała opozycja zaproszeń nie otrzymała, wszystkie wykluczone panie stawiły się gremjalnie na posiedzenie. Niemałe wrażenie wywarł widok dwóch wachmistrzów policyjnych, delegowanych z ramienia komisarjatu do nadania należytej powagi wyrokowi sądu i przewodniczącej.

Posiedzenie rozpoczęło się odczytaniem wyroku sądu, mocą którego cała opozycja pozbawiona była niejako prawa udziału w walnem zgromadzeniu. Na widok takiego „pogwałcenia“ wszelkich zasad parlamentaryzmu — tak wyraża się odnośne sprawozdanie —„pani Wysocka zażądała, aby stary zarząd zajął miejsce nowego i ażeby dotychczasowi kuratorowie towarzystwa opuścili salę.“

Na to, na dany przez przewodniczącą znak, wachmistrz policyjny włożył hełm na głowę i oznajmił, że kto na rozkaz przewodniczącej sali natychmiast nie opuści, nie będąc uprawniony do zabierania głosu, tego niezwłocznie policja wyprowadzi.

Na takie *dictum acerbum* lament się wszczął w szeregach opozycji.

„Precz z zarządem!“ wołały niektóre z energiczniejszych pań, — inne gorzko płakały, że żandarmska dłoń je ma gwałtem usunąć z pod chwalebnego znaku S-go Józefa. Lecz nakaz wach-

mistrza na chwilę tylko oszołomił opozycję. Po chwili podniósł się *in corpore* dawny zarząd i oznajmił policji, odpowiedniemi gestami, wskazując na swe antagonistki, że tamte właśnie są uzurpatorki i nieprawnie urzędujące osoby: należy więc je coprędzej usunąć. Taki obrót rzeczy zbił z tropu policjantów. Wśród wielkiego zgiełku i wzajemnego oskarżania się, zamknięto posiedzenie, a obie partje oznajmiły, że procesować się będą nadal. Przy tem każda strona deklarowała, że strona druga nieprawnie przywłaszcza sobie miano „Towarzystwa Polek pod op. Ś-go Józefa“ i że tylko ona jedna jest uprawniona do występowania w imieniu towarzystwa.

Tak więc rozpoczęła się niemal że walka na noże. Istniały faktycznie dwa towarzystwa, z których każde chciało uchodzić za prawdziwe. Wynikały stąd niesłychane kolizje. Gdy jedna połowa urządzała zabawę, spraszając na nią „rodaków z Berlina i okolicy,“ druga czemprędzej ogłaszała po gazetach, że zabawa się nie odbędzie wcale. Zarówno doniesienie o zabawach, lub posiedzeniach, jak i zaprzeczenia, podpisywał „zarząd“ i przykładał stempel. Walkę prowadzono z taką zaciekłością, że szanowne „panie“ z przeciwnych obozów niejednokrotnie pobiły się, spotkawszy się na neutralnym nawet gruncie. Wśród odmętu tej walki zaginęła zupełnie prawda. Żadna ze stron nie chciała wyrzec się „opieki Ś-go Józefa“, aby nie wyglądało, że uznaje się za pobitą. Napróżno sędziowie, napróżno komitet towarzystw, napróżno redakcje miejscowego pisma polskiego proponowały, aby te panie wybrały sobie za patrona — jedne np. ś-go Jana, a drugie Ś-go Michała, lub odwrotnie, żaden bowiem święty nie odpowiadał ich gustom. Sprawa sądowa wlokła się przez półtora roku co najmniej, przeszła wszystkie instancje, — komitet towarzystw, na posiedzeniu którego zjawiały się delegowane obydwóch stron i wyprawiały ze sobą awantury, wykluczył towarzystwo Ś-go Józefa ze związku towarzystw polskich — nic nie pomogło.

Rozwiązanie jednak zbliżało się szybkimi krokami w postaci wzrastających coraz bardziej kosztów sądowych. Sąd, nie wiedząc której się strony trzymać, wydał nakoniec rozkaz obłożenia aresztem majątku towarzystwa. Chorągiew miała więc iść pod młot: chcąc temu zapobiedz, strona, w posiadaniu której był sztandar towarzystwa, ukryła go w jakiemś prywatnem mieszkaniu. Przybył egzekutor sądowy — i nie znalazł owego sztandaru, za który druga strona gotowa była dać kilkadziesiąt marek, byle go nabyć, jako widoczny znak „prawdziwości“ swego towarzystwa. Sztandar zginął — i niewiadomo było, gdzie go szukać. Zawiodły oczekiwania tych, co łudziły się nadzieją taniego nabycia go na licytacji.

Ta panika spać nie dawała wojującym „paniom.“ Podstępem dowiedziały się one, gdzie się znajduje w ukryciu sztandar i naprowadziły egzekutora. Straszne fatum się spełniło: sztandar obłożono aresztem, a że kosztów nie był nikt w stanie zapłacić, wystawiono go na licytację. Miała się ona odbyć jesienią 1898 roku. Wszystkie pisma niemieckie berlińskie referowały o tem prawdziwem *curiosum* sądowań. Na parę dni przed licytacją, dwie z pań, nazwiska których wymienia Dz. Berl. z r. 1898 — wykupiły chorągiew. Było to 20 września. Od tej chwili aż do ostatnich czasów ten sztandar przechodził z rąk jednej partji do rąk drugiej — a koło niego grupowały się szeregi walczących. A sądy pruskie jeszcze dotychczas nie rozstrzygnęły, która strona ma rację.

R.

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

11 PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

IX.

Ktoś do drzwi zapukał, Kapitan, siedzący przy stole, z głową opartą na ręku, podniósł twarz łzami zroszoną i rzekł:

— Proszę.

Do pokoju weszła Grazietta. Zbliżyła się do swego pana po cichutku, na palcach i podała mu papier, złożony we czworo. Otworzył go i przeczytał słowa, skreślone ołówkiem, ręką drżącą:

„Pamiętaj o obietnicy“!

W pierwszej chwili, wśród odmętu myśli nie mógł sobie przypomnieć obietnicy, uczynionej żonie. Nie wiedział, o co się upominała temi trzema słowami, skreślonemi u łoża zmarłego dziecięcia.

Nagle, z chaosu myśli żałobnych, wyłoniło się wspomnienie.

— Powiedz pani, że zaraz przyjdę — rzekł do Grazietty.

Subtelny zapach ziół i kwiatów, ciemne światło gromnic zapełniało pogrzebową komnatę. Dzielny żołnierz, który na polu bitew i w szpi-

talach musiał zaglądać śmierci w oczy, bał się wejść do tego pokoju.

Czekał chwilkę u drzwi, wreszcie szepnął:

— Cecyljo!

Podeszła do niego. Była blada, prawie sina, patrzała błędnie, szukając jakby w przestrzeni tego, czego już nigdy nie miała zobaczyć. Patrzała, nie widząc nic, oprócz tego sztywnego ciała, prócz boleści i pustki.

W długiej czarnej sukni wełnianej wydawała się jeszcze wyższą i bledszą. Stała na progu sztywna i niema; nagle odwróciła głowę, jakby usłyszała głos, przywołujący ją z głębi pokoju.

— Moja biedaczko! — szepnął mąż, gładząc jej włosy.

Ciężkie łzy potoczyły się po jego policzkach ogorzałych.

— Nie płacz, nie płacz! — mówiła głosem bez dźwięku i bez wyrazu. — Widzisz: ja nie płaczę. Dotrzymasz słowa?

— Teraz?

— Tak, teraz — odparła.

Spojrzał na nią, lecz nie śmiał pytać. Ona rzekła ostro:

— Ja go chcę ztąd wywieźć.

— Wywieźć?... W tym stanie?...

— Tak, w tym stanie... Urodził się i umarł w galerach. Ale ja go chcę wywieźć do Neapolu, do ludzi uczciwych.

— Do Neapolu!

— Tak, do Neapolu na cmentarz. Tam niema galerników... Tam leżą uczciwi nieboszczycy.

Wziął ją za ręce.

— Będą robili trudności... — rzekł.

— Choćby mi przyszło wynieść go na własnych rękach, on tu nie zostanie!

W głosie jej był upór niezłomny.

— Dobrze — odparł po chwili zadumy.

— Chcę, żeby wszystko było sprowadzone z Neapolu — wszystko — ja cię błagam — nie ztąd, nie z galer. Przez litość dla niego. Rozumiesz?

— Tak, nic ztąd nie weźmiemy — przytwierdził.

Wróciła do dziecka i znowu popadła w odrętwienie.

W domu panowała cisza grobowa. Wszystkie drzwi były otwarte, służąca chodziła na palcach, ocierając oczy fartuchem.

Kapitan poszedł do biura, załatwiał swe czynności obowiązkowe, a przytem czynił kroki potrzebne do przewiezienia ciała: trzeba było prosić władzy o zezwolenie, składać deklaracje. Przez cały dzień pomiędzy Nisidą a Neapolem krążyły telegramy.

Gigli wydawał rozkazy, odczytywał raporty, zwiedzał warsztaty, ogłuszał się pracą gorączkową, znajdował w niej ulgę niejaką.

Dozorcy, urzędnicy wchodzili do biura ze spuszczonemi głowami, stąpali na palcach, mówili cicho. Ojciec słuchał, kiwał głową. Gdy mu donoszono o wynikających trudnościach, budził się z odrętwienia, wysyłał nowych gońców, słał depesze do władzy.

Nad wieczorem zaczęła się długa procesja kobiet i mężczyzn, którzy po cichu, nie śmiało prosili ojca, by im pozwolił odwiedzić *piccerilla*.

Zwyczajem jest we Włoszech, iż w domu, nawiedzonym przez śmierć, otwierają się drzwi na oścież; każdy może przyjść pomodlić się przy zwłokach, a jeśli zmarłym jest dziecię, to odwiedziny bywają tem liczniejsze, albowiem kto żyw, chce się polecić modłom aniołka, wezwać jego pośrednictwa do Boga. Wśród ludu, a nawet w wyższych warstwach panuje głęboka wiara, że takie dusze niewinne mogą zanosić do Boga wszelkie prośby, ich orędownictwu powierzone.

Kapitan wspominał żonie o tym ciężkim obowiązku, który zwyczaj nakłada na nieszczęśliwych. Po raz pierwszy odpowiedziała stanowczo:

— Nie, ja nie chcę.

— Cecyljo! pozwól, niech się pomodlą za niego.

— Nie, on już jest w niebie. Nie potrzebuje ich modłów.

Ponowił swą prośbę. Dała się wzruszyć.

— Jeszcze nie teraz... Może potem — odparła.

Odwiedzający rozeszli się, nie dając za wygranę.

Jeden tylko pozostał w przedpokoju.

Rano, przez zakratowane okno kuchni, Rocco przywołał Graziettę, by ją zapytać, jak się miewa *piccerillo*. Służąca, tonąc we łzach i osłaniając twarz fartuchem, odpowiedziała mu:

— *Piccerillo* odszedł do nieba.

Na tę wieść galernik odrętwiał.

— *Piccerillo*, *piccerillo*!... — powtarzał nieprzytomnie.

I oto teraz przyszedł do pokoju dyrekcji, usiadł na ławie, z głową spuszczoną, z czapką w ręku. Kapitan widział go przechodząc, ale się przed nim nie zatrzymał. Drażniła go obecność Wiewiórki. Wreszcie gdy wychodził znowu, Rocco wstał:

— Wasza Ekscelencjo, proszę się zlitować nademną, proszę mnie wpuścić do *piccerilla* — szeptał głosem złamanym.

— Potem, potem — odpowiedział ojciec niecierpliwie.

— Proszę powiedzieć pani, że jak on był chory, to ja nie przychodziłem ani razu, bo ona nie chciała nas widzieć; ale teraz powinna mi zrobić tę łaskę.

— Dobrze, powiem.

Galernik odszedł. W godzinę potem był już znowu w przedpokoju i czekał z niezwalczoną cierpliwością serc złamanych. Wieczorem, wychodząc z biura, kapitan ujrzał go znowu na tej samej ławce.

— Jutro rano, przed odjazdem — rzekł.

— Dziękuję Waszej Ekscelencji — szepnął galernik.

Gigli poszedł do żony, przywołał ją na korytarz, bo nie śmiał wejść do pokoju.

— Wszystko załatwione — rzekł.

— Kiedy? — spytała.

— Jutro rano.

Teraz dopiero, wobec słowa, będącego ostatecznem potwierdzeniem nieszczęścia, skamieniałe serce nieszczęśliwej, skruszyło się.

Bolesne łkanie rozdarło jej piersi, padła w objęcia męża z płaczem i jękiem. Bał się, by mu nie umarła w objęciach, a nie wiedział jak ją ratować.

Nazajutrz, w ciepły dzień listopadowy, wszystkie drzwi domu rozwarły się na oścież i zaczęła się procesja.

Te grube świece woskowe, symbol płonącej wiarą duszy chrześcijańskiej, te świece były z Neapolu. Kwiaty, któremi było usiane łóżeczko, pokój, całe mieszkanie i schody, były także z Neapolu. Białe ubranko i białe trzewiczki, które miał przywdziać w swoją ostatnią podróż, były z Neapolu.

Pierwszy wszedł Rocco cichutko, tłumiąc zgrzyt kajdan. Matka siedziała przy łóżeczku, ubrana w czerni, w dal zapatrzona.

Spojrzała na galernika oczyma, w których nie było wcale wyrazu. (Dok. nast.)

Z pism i książek.

Almanach jubileuszowy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków, Spółka wydawnicza MCM. Str. 14+98.

Jest to książeczka nader ozdobnie, na pięknym papierze wydana z okazji wymienionego w tytule jubileuszu, zawierająca kalendarz na lata 1900 i 1901, dyplomy Kazimierza Wielkiego o założeniu Uniwersytetu (z r. 1364, d. 12 maja) i Władysława Jagiełły o reformacji czyli odnowieniu tegoż Uniwersytetu (z r. 1400, d. 26 lipca), — oba w nader dokładnem i pięknem tłómaczeniu polskiem prof. Stanisława Krzyżanowskiego. Oryginały pergaminowe tych dyplomów, opatrzone pieczęciami majestatowemi na sznurach jedwabnych, przechowują się w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Część literacką wypełnia piękny artykuł prof. Kazimierza Morawskiego p. t.: Kilka słów z okazji jubileuszu Jagiellońskiej Wszechnicy (str. 32—44), kończy zaś to wydawnictwo pamiątkowe „Skład uniwersytetu w roku jubileuszowym 1900“, a mianowicie, spisy członków senatu, profesorów, zakładów naukowych Uniwersytetu; kanonje i patronaty; opis archiwum senatu akademickiego; spis obrazów olejnych, portretów rektorów i profesorów uniwersytetu od najdawniejszych czasów; biusty i medaljony; opisy bereł akademickich, bursy akademickiej, drukarni uniwersyteckiej. Dalej następuje wykaz doktorów honorowych od r. 1844 do roku jubileuszowego włącznie, spis towarzystw akademickich i słuchaczów w półroczu letniem r. 1900 i ostatecznie spis wydawnictw jubileuszowych i członków komitetu jubileuszowego.

Lud, organ towarzystwa ludoznawczego we Lwowie, pod redakcją dra Antoniego Kaliny. Rocznik VI, zeszyt 4.

Ostatni, czwarty zeszyt, zamykający szósty rocznik „Ludu“, poświęcony Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, zawiera dokończenia większych prac, rozpoczętych w poprzednich zeszytach. Nader ciekawą i sumienną pracą jest Jana Witorta Filozofja pierwotna (animizm; str. 321—340), następnie znajdujemy tu dalszy ciąg materjałów etnograficznych, zebranych przez Bronisława Justowicza w artykule *O ludzie podduklańskim w ogólności, a Iwoniczanach w szczególności* (zabawy, pieśni i gadki; str. 340—350), Józefa Schnaidera *Z kraju Huculów* (legendy, podania, klechdy i baśnie; str. 351—361) i przedwcześnie dla nauki zgasłego Maksymiljana Gumplowicza *Polacy na Węgrzech* (361—372), — ogromnie ciekawe studjum etnograficzno-statystyczno-historyczne. W części II-ej tej pracy, zamieszczonej właśnie w zeszycie czwartym „Ludu“, autor zajmuje się przeważnie ludnością polską na Orawie, opierając się na materjałach, zebranych przez Szemberę i Poliwkę. Szembera na całej Orawie naliczył 24,196 Polaków, nazwanych kajniakami; na wiadomość tę jednak w swoim czasie nie zwrócono uwagi ani u nas, ani w Czechach. Dopiero prof. Poliwka z Pragi, zwiedziwszy w r. 1885 Orawę, przekonał się, że mowa tamtejsza jest stosunkowo bardzo czystą polszczyzną. Potwierdził więc on zdanie Szembery i twierdzi dalej, że narzecze wyższo-orawskie jest prawie identyczne z tem, jakiego używają górale w Zakopanem i zachodnich Beskidach. Tenże prof. Poliwka zwrócił uwagę tego ludu na to, że mówią oni po polsku, sprzeciwiali się bowiem temu i twierdzili, że mówią „po swojemu“, posiadając jednak świadomość odrębności swej od Słowaków.

Tenże zeszyt zawiera nader pobłażliwą ocenę pióra prof. A. Kaliny, referatów, przedstawionych na III zjeździe historyków polskich w Krakowie, w sekcji etnograficznej (str. 372—385). Władysław Pemkowicz podaje *Dwa przyczynki do historji wierzeń ludowych* (385—391). — Z rubryki *Rozmaitości* zwrócić należy uwagę na artykuł, podający kilka wskazówek co do przedmiotów, które dla celów ludoznawczych należy fotografować, i omawiający sposób, w jaki potrzeba dokonywać zdjęć, aby odpowiadały potrzebom ludoznawstwa. Jest to przeróbka dra Fr. Kreczeka artykułu etnografa austrjackiego, dra M. Haberlandta, zamieszczonego w *Zeitschrift für österreichische Volkskunde* (z r. 1895). Kończą zeszyt jak zwykle, *Rozbiory i sprawozdania* i *Sprawy towarzystwa.* *Henr. Ul.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul Kopernika 5.